

Dziady

7 października 2008

Żyjemy w mało romantycznych czasach. Owszem, nadal można spotkać takich, którzy twierdzą, że „cierpią za miliony”. Gdy jednak bliżej przyjrzeć się ich posłannictwu, wychodzi na jaw, o co naprawdę chodzi z tymi milionami.

Cierpiętnictwo tradycyjnie należało w Polsce do kanonu politycznej poprawności. Nie ma się co dziwić: jako społeczeństwo mieliśmy zawsze sporo realnych problemów, dlatego zbyt ostentacyjne zadowolenie z jednostkowego czy grupowego losu odbierane było zwykle jako coś niestosownego. Nawet osoby, którym obiektywnie rzecz biorąc wiodło się nienajgorzej, chętnie brały udział w oczyszczającym rytuale licytacji w nieszczęściach, który budował pewne poczucie wspólnoty.

W ostatnich latach Polacy jakby mniej skarżą się na swoje położenie i otaczającą rzeczywistość. Rzecz jasna nie zaczęliśmy być nagle zadowoleni z naszych parlamentarzystów czy piłkarzy (bo niby z jakiej racji), jednak w wielu istotnych kwestiach poprawa narodowego samopoczucia jest wyraźna. Co szczególnie ciekawe, raczej usatysfakcjonowani jesteśmy nawet warunkami materialnymi – będącymi, wbrew temu, co głosi propaganda sukcesu, nadal niepokojąco kiepskimi (piszę o tym w najnowszym numerze „Obywatela”). Zmiany ostatnich lat, zwłaszcza znacząca poprawa na rynku pracy, sprawiły, że większość osiągnęła na tyle znośne położenie, iż narzekać jakby mniej wypada. A i pewne nadzieje na lepszą przyszłość nie są zupełnie bezpodstawne. Staramy się więc cieszyć tym, co mamy.

Ten zastrzyk optymizmu nie udzielił się jednak w równym stopniu wszystkim grupom. Niektóre w ogóle ominął i dalej kultywują one rytuał wiecznego uskarżania się na los. Nauczycieli, co miesiąc upokarzanych wysokością wypłaty,

nietrudno zrozumieć. Co jednak z innymi grupami, których lamente są szczególnie donośne?

Weźmy lekarzy, zwłaszcza ich najbardziej prorynkową frakcję pod wodzą internisty o nienachalnym typie urody. W przerwach między nieudanym kandydowaniem do parlamentu z list kolejnych skrajnie liberalnych ugrupowań, zajmuje się on nagłaśnianiem nędzy polskich medyków, których dalsza praca na obecnych warunkach musi być uznana za czyste społecznikostwo. On i jego koledzy tłumaczą, że ich powołanie do zawodu jest tak silne, iż są w stanie powstrzymać się przed odchodzeniem od łóżek pacjentów. Jednakże – Bóg im świadkiem – nie będzie to trwało wiecznie, no bo ileż lat nasi Judymowie mają znosić finansowy niedostatek? W końcu każdy ma prawo do godnego życia... Zresztą w ostatecznym rozrachunku i tak chodzi o dobro chorych, jak bowiem głosi jeden z lekarskich transparentów: „upodlony lekarz to upodlony pacjent”.

Przyjrzyjmy się zatem skali tego upodlenia. Media podały niedawno, że z raportu przygotowanego dla Ministerstwa Zdrowia wynika, że wcale nierzadko lekarze zarabiają nawet 30 tys. zł miesięcznie. Co prawda mowa o kwotach przed opodatkowaniem i obejmujących wynagrodzenia za dyżury, ale konkluzja opracowania jest jednoznaczna: pensje lekarzy w ostatnim czasie znacznie wzrosły. Autorzy raportu, opracowanego na podstawie badań połowy polskich szpitali podają, że średnia płaca lekarza z II stopniem specjalizacji wynosi 7211 zł i jest o 20% wyższa niż pół roku temu.

Maciej Miłkowski, wicedyrektor warszawskiego Instytutu Kardiologii, w rozmowie z „Dziennikiem” przyznał, że zarobki rzędu 20 tys. zł miesięcznie nie są niczym wyjątkowym. Specjalista wykonujący echo serca zarabia blisko 5 tys. zł, do tego 30 proc. wysługi lat, jeśli weźmie dyżury, to finalnie rzeczywiście na koniec miesiąca dostanie ok. 20 tys. zł – powiedział. Także prezes Naczelnej Izby Lekarskiej Konstanty Radziwiłł nie ukrywał, że medykom bardzo się poprawiło. Część lekarzy wynegocjowała sobie wyższe zarobki podczas strajków na

początku roku, a część korzysta z tego, że brakuje lekarzy i dyrektorzy muszą płacić im więcej, by zechcieli zostać w szpitalu – wyjaśniał. Jedynie dla porządku przypomnijmy, że specjaliści w białych kitlach zwykle mogą także liczyć na dodatkowe profity, osładzające im trudy dźwigania na swoich barkach losów narodu. Przykładem mogą być sponsorowane przez koncerny farmaceutyczne wyloty w tropiki.

Co na to wszystko nasi medycy? Nic. Ogólnopolski Związek Zawodowy Lekarzy ani myśli modyfikować swoich postulatów i zapowiada, że będzie dążył do dalszego wzrostu lekarskich wynagrodzeń, aż wreszcie przestaną oni dziadować i osiągną upragnioną godność. Coś mi mówi, że może być ciężko osiągnąć ten wzniosły cel.

Inna grupa, której żale regularnie relacjonowane są przez media, to wyższa kadra kierownicza. Także ona ma niełatwe, pełne poświęceń życie. Menedżerowie urabiają się po łokcie, by gospodarka rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej – i co ich za to spotyka? Fiskalny terror państwa z jednej, a nadmiernie rozbuchane, dziecinnie nierozsądne roszczenia płacowe społeczeństwa z drugiej strony. Polskim szefom sprawia przykrość, że pracownicy wykorzystują zwiększony rynkowy (!) popyt na swoje kwalifikacje, żądając wyższych pensji. Ich zdaniem, długofalowy interes gospodarki wymaga, by płacowe apetyty maksymalnie okiełznać, gdyż jako kraju nie stać nas jeszcze na tak wysoki poziom zarobków, nieadekwatny do produktywności. Chciałoby się zakrzyknąć: lekarzu, lecz się sam!

Jak poinformowała niedawno „Rzeczpospolita”, polski menedżment wyższych szczebli zarabia obecnie nie tylko świetnie, ale i znacznie lepiej od zachodnich kolegów. Tak wynika z najnowszego raportu renomowanej firmy badawczej Hay Group „Wynagrodzenia na świecie”, w którym zestawiono zarobki zarządców firm z kilkudziesięciu krajów świata pod kątem ich siły nabywczej – z uwzględnieniem kosztów utrzymania i obciążeń podatkowych. Polska znalazła się w pierwszej

dwudziestce państw pod względem realnej wartości kierowniczych płac.

Zdecydowanie wyprzedzamy np. kraje skandynawskie (wynagrodzenia szwedzkiej kadry kierowniczej są warte prawie o połowę mniej niż polskiej) czy Wielką Brytanię. Polskim szefom udało się ponadto „dogonić i przegonić” Amerykę – zarabiają o 40 proc. więcej niż ich odpowiednicy z USA. Jest to rezultat niższych kosztów usług i stosunkowo niskich podatków dla najlepiej zarabiających, w sytuacji, gdy pod względem kwot wynagrodzeń nasi menedżerowie zarabiają często podobnie jak najlepiej opłacani w Europie szefowie w Niemczech. Jeśli weźmiemy pod uwagę produktywność w gospodarce, wciąż dużo niższą niż w Europie Zachodniej, to nasi menedżerowie pod względem płac są już w europejskiej czołówce – twierdzi Krzysztof Nowakowski, prezes polskiego oddziału firmy Korn/Ferry Int., która specjalizuje się w rekrutacji na najwyższe stanowiska. Płace członków zarządu mogą dochodzić nawet do 10% zysku wypracowanego przez firmę.

Warto przyjrzeć się, jak na tym tle wyglądają rzeczywiste płace pracowników, którym menedżerowie chcą zaciskać pasa. Otóż w 2007 r. dochody gospodarstw domowych wzrosły zaledwie o 3,7%, choć wyniki finansowe przedsiębiorstw wzrosły o 20,3 mld zł, czyli o niemal 25%. Według GUS, udział kosztów płacowych w przemyśle w łącznej sumie kosztów spadł już do 10,9% (w 2004 r. wynosił 11,4%). Dwie trzecie pracowników otrzymuje wynagrodzenie nieprzekraczające średniej krajowej. Co więcej, jeden na trzech zatrudnionych otrzymał w ciągu roku poniżej 50 zł podwyżki.

Nikt nie chce żyć jak dziad, każdy chce „żyć godnie”. Niektórzy mają jednak bardzo wygórowane poczucie własnej godności.

Autor: Michał Sobczyk

Źródło: [Obywatel](#)